

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**ERNEST BRYLL**

***ZWIERZĄTKO***

**Tower Press 2000**

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

# *Lekkoatletyka*

\* \* \*

Tajne imię, o którym każdy zapomina  
Odpycha z wielkim krzykiem w chwili urodzenia  
Jest, żyje niby ryba w cienistych kotlinach  
Czeka cierpliwie chwili swojego wrócenia

I przyjdzie, i wyskoczy dychając skrzelami  
Nad wodę, co już była tak uspokojona

I wezwie nas głębiny gęba otworzona  
Abyśmy z sobą sami zostali zbratani

\* \* \*

Jeszcze ulecieć w niebo jak w dzieciństwie było  
Kiedy się ciężar ziemi tylko śniło  
Kiedy się jedną myślą jednym rzęsy drgnieniem  
Przepływało nad cieniem cierpieniem pragnieniem

Jeszcze się napić jak w studni głębokiej  
Powietrza źródlanego z pianistym obłokiem

Jeszcze być a nie mijać. Wypluć choć na mgnienie  
Gorzką sól co posiadała język podniebienie...

## *Zanurzyć się wieczorem*

Zanurzyć się wieczorem w podwodną głębinę  
Z jednego ruchu w falę się przewinać  
I płynąć z wodą tam gdzie ona płynie  
Nad oceanów pochmurną dolinę

Oglądać wieloryby jak sen miękkie ciemne  
Poznawać krwiobieg morza i tętno tajemne  
Być tam gdzie wszyscy w ciepłym milczeniu pełgają  
I jednym wspólnym oddechem dychają...

\* \* \*

Karymi koniami  
Smagłymi saniami  
Kuligiem zjeżdżamy  
W pulsującą zamieć

Twarz z mrozu stężała  
Usta okrwawione

Już się obejrzałeś  
Na śmiertelną stronę



## *Lekkoatletyka*

Gorący oddech zmarłych co biegli przed nami  
Jeszcze słyszymy... Oni – zadyszani  
Minęli metę w wielkim maratonie  
Ale krwawią zwierzęta przez nich oswojone  
Pulsują sprzęty...

Teraz krótką chwilę  
Będziemy biegli swobodni i sami  
Całe powietrze – naszym oddychaniem  
Cała woda – pragnieniem  
Cały świat – spotkaniem  
Aż nagle pocujemy na karku spoconym  
Oddech tych co dochodzą nas.

I serce stanie  
Ścisnie się jakby lutym mrozem osmalone  
To nic. Jeszcze złapiemy powietrze zębami  
Aż do krwi. Pobiegniemy huczącym stadionem  
W gorący oddech zmarłych co biegli przed nami.

\* \* \*

Ciemne i wrogie przedmiotów spojrzenie  
– Jak gdyby się cieszyły z tego, że przetrwają  
Kiedy już nas nie będzie

– Podłogi skrzypienie  
Korniki, które w szafach po nocy pukają  
Stołu milczenie, krzesel odrętwienie

O jakże oni wszyscy wytrwale czekają  
Na nasze osądzenie, nasze potępienie

A my, jak podróżnicy z dalekiego kraju  
Staramy wyrozumieć to, co powiedziane  
Co skamieniało w mowie nam nie znanej  
Chcemy tłumaczyć, prosić...

Chociaż wiemy  
Że nic nie wybłagamy, nic nie zrozumiemy

## *Przyśpiewka*

...A chociażbyś się nurzał po szyję  
Żadna woda ciebie nie omyje  
Wódka miłość ani pieśni słowa  
Tylko ziemia sucha i surowa

Ona zbierze co z życia zostało  
Do czystości  
Do kości białej

\* \* \*

Kto umiał gadać – dogadał milczenie  
Kto umiał czekać – ten śmierci doczeka

Kto chciał miękkiego chleba będzie gryzł kamienie  
Kto chciał uciekać – już na wieki zwleka...

\* \* \*

Próżno patrzymy z biegiem niepamiętnej wody  
Próżno w jej miękkiej fali szukamy ochłody  
Ona się chmurzy pod pierwszym dotknięciem  
Z sennej zatoki odmienia w płomienie  
Do samej kości pali nas pragnieniem  
I boli tak jak tylko boli przypomnienie

\* \* \*

W kącie pod szarą chmurą pajęczyny  
Wyznaczono mi miejsce. Siadłem tam zacisznie  
I patrząc jak mój pajak ciągnie nitkę śliny  
Czekałem razem z nim na muchę, która błysnie  
Tłustym brzuchem uderzy, zamąci nogami  
Poderwie się do lotu i zostanie z nami...

Trzeba się było uczyć wielkiej cierpliwości  
Więc się edukowałem, malałem, szarzałem  
Destylowałem słodycz pajęczej miękkości  
I ślinę w pocie gęby wysnuwałem

## *Wiersz nie dokończony*

Skąd idą te głębokie wody  
Z których się wszyscy napijemy  
Szukając ciszy i ochłody  
Pewności – jako piołun ciemnej

I strach przed nimi i pragnienie  
Żeby się schylić dotknąć płynąć  
Zobaczyć czy jest powrót  
Tam skąd przyszliśmy...

## *Co będzie z nami*

Co będzie z nami w tej strasznej godzinie  
Kiedy się kości nasze zaczną z prochu zbierać  
Łączyć twardnieć i ziemię jak płomień rozdzierać  
Co będzie kiedy wróci do nas nasze imię?  
Ciało już zapomniane i na pył rozwiane?

Jako byśmy na nowo w męce umierali  
Tak będziemy zwierali się zmartwychwstawali  
Do krwi swojej i potu przystępując swego  
Z cichej wspólnoty zmarłych znów do jedyne

Do lekcji której krzyżując trzeba się nauczyć  
– W cierpieniu jestem. W bóleniu rozumiem.



\* \* \*

Religie zatajone aż za siódmą skórą  
Miseczka mleka dana domowemu Srali  
Koralik przeciw biedzie, modlitwa na chmurę  
Żeby ją planetniki co rychlej zabrali  
Gdzieście są?

– Czemu znikło, szczzło, pomarniało  
To co nam dane było za obronę...

Słowa, które się w śmierci godzinie szeptało  
By zmieniło Nieznane w Ciepłe, Oswojone

\* \* \*

Umarli, którzy żyją wciąż pomiędzy nami  
Nie dają się zapomnieć. A my byśmy chcieli  
Nie wiedzieć nic o chwili gdy okropnie sami  
Z piaskiem na oczach będziemy leżeli...

Ach, jak oni wytrwale bobrują, szukają  
Jak się przez zamilczenie do nas dobijają  
Jak psują wszystko co tak ułożone  
W naszym świecie, gdzie imię śmierci wygonione  
Gdzie choć musimy nietakt popełnić w salonach  
Zapomnieć się i nagle niedyskretnie skonać

To się chowamy zaraz z wielkim zawstyżeniem  
Pod grube wieko trumny. Pod ciężkie kamienie

\* \* \*

Życie, z którego śmierć zoperowano  
Odjęto, jak jemiołę, hubę, rakowiznę  
Życie bardzo życiowe...

Jakże ukochano

W ogrodach naszych tę dziwną roślinę  
Na której ani listka zwątpienia, zmęczenia  
Która trwa w sobie samej i nic się nie zmienia  
Która nie była, nie jest i nigdy nie minie

Niby rośnie pod słońce – a nie daje cienia

\* \* \*

Ten obcy, ten najbliższy – ten we mnie skulony  
Ten uparcie milczący, swego czekający  
Obudził się, wysunął swój język gorący  
I liznął mnie pod serce oddechem zmęczonym

On też ma dość i uciekłby za siódme góry  
Od mojej tłustej, zwilgotniałej skóry  
Od krwi spalonej, myśli wystraszonej...

Krząta się, snuje coś na swą obronę  
I nagle cichnie. Jakby się odmieniał  
W poczwarę, co już nie ma nic do uczynienia  
Jak tylko czekać...

\* \* \*

Zasnąć na dłoni wieczności – w spokoju  
Jakby się nigdy jej palce nad tobą  
Nie miały zawrzeć, zacisnąć, zespoić  
W garść mniejszą od dnia, chwili  
Sekundy...  
Od grobu

*A może...*

A może śmierć, to tylko życia pomnożenie  
Takie nadpamiętanie, że aż zapomnienie

I taka radość, że ci co zostają  
Pojąć w nas mogą jedynie cierpienie

I umieranie ciała, które się oswaja  
Z nową szybkością lotu, z takim przeciążeniem  
Że nie słyszymy tych, co nas wołają  
Że martwiejemy dla nich... Jak kamienie.

*W tym wietrze*

\* \* \*

Pola w śniegu leżały – ciche skrzydła białe  
Czekające pierwszego wiatru, co je ruszy  
Poderwie, aby w górę zadymką leciały  
Jako kometa lodu miecąc pióropuszem

Gdzie ona gwiazda leci, gdzie nas z sobą dźwiga  
Gdzie nas zgorzałych od zimna wyplunie  
Gdzie zostaniemy jak ciemna łodyga  
Odrzucona od kwiatu, który dalej frunie

Gdzie upadniemy, z jakiej wysokości  
Niegodni czystej, mroźnej wszechdoskonałości



\* \* \*

Głos morza jak głos Boga groźny, jednostajny  
Pełen stworzeń nieznanymi rzek i głębin tajnych  
Wielki pianisty jezior co się w męce zwija  
Nowe słowa wypływa i zaraz zabija  
I szuka znów, próbuje...

A my w ślinie jego

Płynący z narodzenia do skonań swego

\* \* \*

Cierpliwe, krowie oko oceanu  
Patrzące martwo na nasze zabawy  
Powieka lądów zmyta krwawą pianą  
Cierpiąca, czekająca i jak Bóg łaskawa

O nawigacje chytre, o pyłki drażniące  
Wylewy sine, kratery jęczmienia  
Strach, ropa, płomień, statki konające  
Brud, co jak łza ocieka w ziemi podniebienie

Wszystko jeszcze trwa trwaniem. To małe drganie  
Pęknięcie ziemi prawie się nie liczy  
Pewno to ironiczne oka przymrużenie  
Nad oceanem naszym tak pełnym słodyczy

Pewno to ostrzeżenie. Zanim do imentu  
Zatrzasną się powieki twardych kontynentów

## *Przez miasto ściste*

Przez miasto ściste, zimne jako rdzeń krzemienia  
Szli pasterze, kierdele po ulicach gnali  
– Gwiazda, gwiazdeczka wzeszła! – trąbili, wołali  
I tupali, krzesali, aż huczała ziemia

Ale jałowe było najlepsze krzesanie  
Bo się iskra w krzemieniu miasta tak stuliła  
Jakby nigdy w gadaniu, śpiewaniu nie była  
A jeśli była – zbyła, nic jej nie dostanie

Pasterze udęczeni drepcący pod nami  
Owce płynące ciepłymi chmurami  
Co wy możecie wiedzieć?  
My z domów wysokich  
Podniesionych jak góry nad wasze obłoki  
Widzimy niebo ciemne. Kiedy tam nic nie ma  
Jakże wy ukrzeszecie Gwiazdę Betlejema?...

## *Kolęda*

W tę jedną noc gdy do nas gadały zwierzęta  
Gdy nawet kamień szeptał co spamiętał  
W tej najjaśniejszej chwili  
Mysmy głusi byli  
Choć zasiedliśmy do stołu i święta

W tę noc co miała być wielkim wołaniem  
Byliśmy tak dalecy choć wspólnie strwożeni  
Jak rozbitkowie w ciemnym oceanie  
Gadający cokolwiek  
By odwlec gadaniem  
Prawdę – Milczenie

\* \* \*

W krzyku Maryi i krwi narodzenia  
Wzeszła na sianie gwiazda naszego zbawienia

Nie taka ona jaką byśmy chcieli  
I jako ją w kolędach śpiewają anieli

Nie taka ona – błogo ocukrzona  
Ale paląca prawdą i nie przekupiona

Nie taka ona – lecz nie ma człowieka  
Który by przed spojrzeniem gwiazdy nie uciekał

Musimy ją umiękczać owijać bajaniem  
Oswajać w płomyk świeczki co na stole stanie

Bawić się w szopki pasterzy baranki  
Nim przyjdzie czas zrozumieć gorycz tej sielanki

\* \* \*

Ludu mój cichcem w ciemnościach żyjący  
I narodzenie prawdy czekający

Ludu mój, co rozumiesz bezbronność słabości  
Którą Człowieczy Syn na świat przynosi

Ludu mój zasluchany w Boże poniżenie  
A wierzący kamiennie w nadziei ziszczenie

O zapłacz, zakolęduj na mrozie siarczystym  
Idąc za marną gwiazdą z papieru wyciętą  
Taką lulajkę straszną, na krzyżu rozpiętą  
Żeby twój krzyk zapłonął kometą ognistym

\* \* \*

Psy drżały stojąc przy nas, kiedyśmy czekali  
Aż błysnie gwiazda, niebo się zapali...  
Niepewne były, ciche i zjeżone  
Jak gdyby śmierć widziały...

Wreszcie światłość wstała

I oślepiła owce wystraszone  
I nas swym zimnym palcem przeżegnała  
Abyśmy wyruszyli z fantazyją całą  
Gnając kierdel przed sobą – rzekę wyliniała  
Pełną szczekania, zbyrcenia, beczenia...

Więc stąpaliśmy, aż zadrżała ziemia  
I dmuchając w ligawki krzepko a z nadzieją  
Poszliśmy szukać za swoim Betlejem

\* \* \*

W tym wietrze co jak rzeka zgęstniał ponad nami  
Słyszeliśmy Twój oddech – Boże zagniewany

I zamiast upaść utonąć w powodzi  
Myśmy zbijali swoje wątle łodzie

I zamiast stopnieć jak воск w ręku Pana  
Myśmy wybrali sztukę żeglowania...



\* \* \*

Co krwawe – zmyte będzie deszczami  
Co kłamstwem było – zarośnie trawą  
Znów czuwać będzie nad narodami  
Niebo źrenicą łzawą, łaskawą...

*Sny*

\* \* \*

Śniłem – a może to było na jawie  
Że szliśmy nocą. Każdy trzymał w dłoni  
Świeczkę swoją i ogień przed potopem chronił  
Deszcz huczał tak ogromny jakby niebo całe  
Na nasze głowy kamieniem padało

Śniłem – a może to było na jawie  
Ktoś szeptał do mnie i ja coś szeptałem  
Ale się słowa w deszczu rozmywały  
A ręki nie mógł nikt drugiemu podać  
Bo świeczki nasze zalewała woda

Tak nas rozgonił deszcz i wiatr. Szczęśliwi  
Że płomień ciągle jeszcze palce parzy  
Przybliżaliśmy świeczkę do zsiniałej twarzy  
Samotni w tej kotlinie ciemności. Lecz żywi.

Śniłem – a może to było na jawie  
Płomień z potopu burzy ocalony  
Szczerniał nagle i w popiół został obrócony

Dopaliły się świeczki, a myśmy ostali  
I na próżno przyjaciół zginionych wołali

\* \* \*

Kto z nas umiał zapomnieć tę przeczystą chwilę  
Jeden sen w życiu – kiedyśmy lecieli  
Nad ziemią wodą wiatrem jak wielkie motyle...  
Kiedyśmy skrzydła jak żagle napięli  
I mijając spokojnie obłoków zatoki  
Przez koralowe morza w ocean głęboki  
Płynęli zapomnieli zgaśli zatonęli...

Kto z nas umiał zapomnieć ciszę tego trwania  
Pół sen, pół jawę i lekkość spadania

I nagle ziemi kamiennej dotknięcie  
Ze snu miękkiego twarde przebudzenie

\* \* \*

Kamienie obłupane do kości kamienia  
Skała solą zlizana do samego rdzenia  
Jako miliony czaszek, które pozostały  
Po plemionach, narodach, carstwach pełnych chwały  
Stolice świata falą pożerane  
Ginące jak my niegdyś w czasie oceanie  
Połykanie, trawienie i znów wydalanie

I krzemienna nadzieja na wieczne przetrwanie



\* \* \*

Wiedziałem dobrze, że śnię i wiedziałem  
Że boję się jak w życiu

Z największą pilnością

Stary dom cal po calu z ziemi wrywałem  
Ryłem się pod fundament, aż trzeszczały kości  
Stałem się niemy, głuchy, od potu oślepy...

Dom trwał jak owoc dyni cichy, ogromny i ciepły  
Cały miękkością wewnątrz wysłodzony  
Dorzeczem swych korzeni tak w ziemię wczepiony  
Że musiałem krwiobieg ciemnych wód naruszyć  
Pół świata wyjąłować, na popiół wysuszyć  
Zanim umarł mi w dłoniach.

I sen był skończony...

\* \* \*

Słyszałem oddech, łoskot oceanu  
– Jakby był nieskończony dzień jego stworzenia  
Pacyfik dźwigał góry ukwiecone pianą  
Przewlekał je w doliny i znów w góry zmieniał

Przez sen słyszałem... Co można usłyszeć  
Przez sen? Niejasne szept, bełkotanie  
Przez krótszą od snu chwilę byłem w oceanie  
Pluskałem się jak ryba. Więc jak ryba dyszę.

Na jawie popiół, piasków głębina pod nami  
I za sucho, za gorzko oddychać skrzelami.





\* \* \*

Najpierw przez rzekę śmierci śmierdzącą fenolem  
Potem przejdziemy przez wyschnięte pola  
Potem przez kamień – tak lepki od dymów  
Że każde nasze niepewne stąpięcie  
Zostanie niby blizna krwią podbiegła siną...

Takie to będzie całe wniebowzięcie  
Przez zwałowiny śmiecia co jak Alpy stoją  
Będziemy grzebać szukać za imieniem swoim

\* \* \*

Bo to jest tylko przerwa, godzina spokoju  
Kiedy zdyszani, skrwawieni, spoceni  
I ci co biją , i ci co się boją  
Twarz zanurzyli w białym wodopoju  
Gasząc pragnienie

To jest godzina chytrych. Ktoś twarz z krwi obmywa  
I przesuwa się cichcem na stronę bijących  
Jeszcze czeka – czy przyjmą go, czy też odtrącą?...  
Ale go wabi, drażni zwierzyna płochliwa  
Te gęby suchą prawdę wytrwale żujące  
Roślinożerne i denerwujące

On zgłodniał, on już chciałby nowego smakować  
Skoczyć, rozerwać ciszę jak mięso surowe

\* \* \*

Wstyd, co przychodzi jak gość nieproszony  
Siada za moim stołem i szklanę podnosi  
I – sto lat – śpiewa, i dolewać prosi  
I całuje mnie słodko w pysk zaczerwieniony

Tak chciałbym, żeby poszedł. To co smaczne było  
Co pitrasilem długo – znowu jak drewniane

A on zajada, gada, że mu miło  
Każdą noc będzie ze mną. Wyjdzie aż nad ranem.

## *Zwierzątko*

## *Zwierzątko*

W historii księgę patrząc sfalszowaną  
Siedzieliśmy nocami i każdy się łudził  
Że odskrobie, odczyta co krwią zamazano  
Że chociaż ręce niby kat utrudzi  
To domaca do kości – gdzie, po co kłamano

W historii księgę patrząc sfalszowaną

I tak było jakbyśmy obdzierali skórę  
Z własnego ciała. I długo czochrali  
Przez mięso, płuc listowie, tłustą kiszek chmurę  
I już, już prawdy zwierzątko chwyтали  
Zapłakali, poznali, skandowali chórem

W historii księgę patrząc sfalszowaną

Ale zwierzątko śliskie i złośliwe  
Przegryza się przez słówka, klatki, stroszy grzywę  
Znika, wyrasta tam, gdzie go nie siano  
Ani się myśli zlitować nad nami

I zostajemy z twarzą zadumaną  
Z ukrwawionymi po łokcie rękami

W historii księgę patrząc sfalszowaną.

## *Kantyczka*

Poeci mego pokolenia  
W prostocie sprzętów szukający  
Prawdy, zwykłości i zbawienia  
Spod rumowiska ratujący  
Widelec, miski ciemne słońce  
– To co trwa, co się nie odmienia

Nasze w brzydocie zakochanie  
Nasza nienawiść do silnego  
Bo to co słabe nie skłamane  
I bliższe słowa powszedniego  
Nasze pragnienie, zaślepienie  
Że kłamstwo prawdy odwróceniem

Dziś wiemy, że to nic nie znaczy  
Nauczyliśmy się rozpaczy  
Chleba naszego razowego  
Jak ciężkie żarna obracamy  
Prawdę – nieprawdę. I śpiewamy  
Wszystko na nowo – Nic nowego.

## *Piosenka biednego poety*

Była mi dana cyniczna nadzieja  
Więc powinienem patrzeć obojętnie  
Jako się góry rodzą i góry zwalają  
Więc jestem nauczony, że ziemia tam pęknie  
Gdzie ma pęknać. I ludzie na próżno biegają  
Na próżno lepią płaczem krwią i śliną  
To co jest im najdroższe. Bo to musi zginąć.

Była mi dana wiedza zapomnienia  
Pożarłem ją jak jabłko bez żadnych boleści  
Jestem cały bez grzechu – bo grzech się nie mieści  
W tej ciasnej ciemnej szczelinie gdzie drzymam  
Pomiędzy j e s t i b y ł o a pomiędzy n i m a.  
Umiem pośród zabitych kwiatkiem się zachwycić  
Bo kwiat jest ciepły. A oni zabici.

Było mi dane wszystko co być miało  
Obroną moją i larwy przetrwaniem  
Wiem że ludy są kroplą w wielkim oceanie  
Wiem że myśl boli ale bardziej ciało  
Mam odwagę letargu  
I nic to nie dało

Uciekając w nadzieję. Kryjąc się w zwątpienie  
Bijąc ogonem rymów po ciemności falach  
Szukamy tej poezji co jest ocaleniem  
Choć nie ma słowa co ludzi ocala...



## *Połów*

Miękkie morza kariery. Ja z prowincji głuchej  
Wiem to, co już odjęte ciepłej urodzonym  
Mnie jeszcze cieszy zapadanie w puchy  
Choć braknie tam powietrza i niejeden skołał

Ale to nic. Czasami tylko łapiąc tchnienie  
Popatrzę na kolegów okiem wytrzeszczonym  
Gruntując przez piernaty bety i androny  
Wspomnimy cierpkość wiatru – jesienne pasienie

Ech, nie ma co wspominać – każdy słowo trzyma  
Leci w piniawę, mdlące zapadanie

Jako nurkowie w wielkim oceanie  
Szukamy swojej perły. Dla wielu nic ni ma  
Puch piernaty zakrwawia...

Wieczne spoczywanie

Wszyscy skoczyli w głębię. Jeden jej dostanie.

\* \* \*

Czasem jeszcze potrafię tak w gwarze powiedzieć  
Że nikt nie pozna mojego przebrania  
Czasem i w antyszambrach tak dostojnie siedzieć  
Jako wykrzyknik gniewu czy znak zapytania  
Czasem umiem przyświsnąć nad uchem zniecka  
Że się lokajom wolność ozwiera chłopacka...

I za to jestem wysoko ceniony  
W ogrodach naszych pastwiskach strzyżonych  
Gdzie się węhują stada dylematów  
Zbyrcą i tupotają kierdele cytatów  
Gdzie ludzie mówią k' sobie rymami sielanki

Aliści się zdarzają czasem niespodzianki

\* \* \*

O jak lekko kłamałem kiedy byłem młody  
Nie było dla mnie przeciwnej pogody  
Każdy wiatr moje gardło jak pieśnią nadymał  
Każdy śnieg był mi ciepły jak gęsta pierzyna

Dziś żeby jedno takie kłamstwo zdobyć  
Muszę jak ptasznik po słownikach łowić  
Dobić  
Wykrwawić  
Patroszyć  
Przerobić  
Wypchać  
Nastroszyć pióra

Niechaj udawanie  
Lotniejsze będzie niż samo latanie

\* \* \*

Skąd we mnie ten głód ciągły i słone pragnienie  
Choć się nażarłem aż po podniebienie  
A jeszcze bym zagarniał...

Skąd ten strach płonący  
We śnie i we dnie jak zwierzę krzyczący

Dlaczego ponad wszystko co w świecie żywego  
Jak od śmierci uciekam od siebie samego?

## *Ciemność*

Po długich i ciężkich ćwiczeniach  
Za pomocą prastarych metod „Zen”  
Możemy wytworzyć w sobie pustkę  
Ale to nie jest tak  
Jak myśli się w Europie  
Dobierając przymiotniki:  
Otchłanna  
Niemierzona  
Czy chociażby  
Głęboka

Mądrość polega na tym  
Żeby zacieśniać się w sobie  
Wysychać  
Zwierać  
Trwać  
Aż płomyk świeczki zgaśnie

Aż nie zmieści się w nas  
Nawet  
Nic

*Kto jest  
z ciepłego stada wygoniony*

Kto jest z ciepłego stada wygoniony  
Kto wszystkim wiatrom na przekór stawiony  
Ten krzyczy z bólu a z jego krzyczenia  
Wyrasta drzewo ogniste sumienia

O drzewo drzewo dla twojej urody  
Dla smaku liścia dla cierpkiej ochłody  
Pod twym płomiennym cieniem sędziowie zasięda  
I znów odstępców srogo karać będą...

\* \* \*

Aktorzy – moi przyjaciele  
Bez których byłbym ślepy, głuchy  
I wiersz mój – bez was – suchy, kruchy  
Jak zarzucone w książce ziele

Może pisanką jest pisanie  
Skorupką cienko malowaną  
Naiwną wiarą w Zmartwychwstanie  
Sztuką kopalną, zapomnianą

Może jest tak. Lecz jeśli stanie  
Ktoś z Was i zechce – wiersz ożywa  
Wasze pragnienie i żądanie  
Z ostygłej skały go wrywa

Krew z krwi, kość z kości jest w tym ciele  
Aktorzy – moi przyjaciele

## *Ten który*

Ten, który skrzywdził człowieka prostego  
Wynajdzie rymopisów, co wszystko wymażą  
I historyka w dowodach zręcznego  
Który wyrzeźbi dzieje z tak dostojną twarzą  
Jak nigdy w dziejach jeszcze nie bywało.  
Ten, który zbrodnię czynił – byle wyszedł cało  
Znajdzie w ciemności wieków swoją sprawiedliwość  
Chociaż siał burze, słodkie zbierze żniwo.

Takie jest doświadczenie. A my byśmy chcieli  
Aby się słowa poety lękano  
By imperatorowie w pomiętej pościeli  
Pocili się, myśleli – co o nich pisano

Takie jest doświadczenie, które zawsze znano  
I zawsze przeciw głupi poeci lecieli.



\* \* \*

Ani to równina, ani połonina  
Ani to pierzyna, ani to łacina

Nie w sobótce lato, nie w kolędzie zima  
Tylko wiatr przeciwny, który z nóg nas ścina

## *Ogród ziemi*

\* \* \*

Czupryny nasze cichcem wyleniale  
Brzuszyny nasze łagodnie zwiotczałe  
Stada naszego dostojne spotkania  
Przemówienia codzienne, nocne bełkotania  
Wrogowie nasi tak w swojej młodości  
Podobni naszej miękkiej nijakości

Że choćbyśmy do bojów ruszyli zawzięcie  
Tylko brzuch w brzuch uderzy z niejasnym klaśnięciem

\* \* \*

Cierpliwe cienie zmarłych – w każdym pokoleniu  
Garniowane tak jak każą mody  
Wojaczek, Bursa, Borowski, Baczyński  
Niewodem wyławiani ze śmiertelnej wody  
Niemi jak ryby co głosu nie mają  
Więc za nich inni pieniście gadają:

Chociaż okaleczeni – będą ozłoceni  
Choć pełni ości – dobrze przyprawieni  
Na nasz stół wśród zieleni dostojnie wniesieni

Kto ich będzie pożywać jak nie kolegowie  
Toć są naszą komunią, grzechów odpuszczeniem  
Kto jak nie my podniesie szklanę za ich zdrowie  
Za tę słodycz co bawi nasze podniebienie

Za ich rybią bezbronność, za to że żyjemy

Chcemy – prawdę powiemy  
Chcemy – to skłamiemy.

## *Ogród ziemi*

Dawniej kiedy poeta wchodził w ogród ziemi  
Działy się ponoć cuda. Coś w rodzaju  
Wniebowstąpienia rzek i skał śpiewania...  
Najmniejszy ssaczek, płazik a nawet pierwotniak  
Wiedział, że teraz wybiła godzina  
Że ktoś tam w małym mieście przy sosnowym stole  
Wpisuje jego imię w symfonię stworzenia

Jakie to było piękne i logiczne  
Poeta wstaje – padają tyrani  
Poeta mówi rymem i nawet wrogowie  
Są tu na swoim miejscu – jak cień przy jasności...

A życie smaczne jest – bo przyprawione  
Attycką solą.

Jakie to wszystko głupie dzisiaj, jakie ciemne  
Poeta rodzi się, a rzeki płyną  
Śmierdzą fenolem. Ludzie się pukają  
Znacząco – aż łeb dudni. Matka płacze syna  
Przyjaciół radzi: jeżeli już musisz  
Napisz piosenkę. Władcy śpią spokojnie  
A rano dają coś z łaski. Poeta  
Było nie było straszyl wedle reguł sztuki...

Szczęśliwy naród, który ma poetę  
– Nie widać tego po naszym. Zapewne  
Nie ma się czego cieszyć. Nie ma też poetów  
A w ogóle jak tutaj wchodzić w ogród ziemi  
Kiedy ogrodów nie ma – wszystko wystrzyżone.

Jest śmietnisko podmiejskie. Piasek. Wiatr. Papiery  
Gorzkie zielsko ironii – co wiele wytrzyma.

\* \* \*

Tam, w samym sercu gówna, w gnojowisku  
Najlepiej jest przeczekać niedobłą godzinę  
Kiedy się skończy – wyleźć. Sprawdzić czy na pysku  
Jakiś smród nie pozostał. Splunąć starą ślinę

I oddychać szeroko piersiami wolnymi  
I ulecieć wysoko nad pokonanymi  
Co nie umieli w larwy się przewinać  
Zatonąć, zmilknąć i znowu wypłynąć

I dostąpić w zaduchu brzęczenia, trąbienia  
Wspólnoty stada i wtajemniczenia  
Wśród nowych much, co huczają nad swojską padliną

## *Sonet sentymentalny*

Niech słowo słowo znaczy i myślom nie kłamie –  
Ach jak pięknie pochylić się nad takim zdaniem  
Jak nad ruczajem. Obmyć kłamstwa znamię  
I oddychać poezji najczystszym dychaniem

O ileż razy tak się przybliżałem  
Do białej wody do strumienia tego  
Szukałem i patrzałem. Niewiele dojrzałem  
Oprócz odbicia swego. Cienia niejasnego

Bracia może kto widział te rzeki przejrzyste  
Może wydestyluje z nich wodę święconą  
Pokropi – a odpadnie wszystko co nieczyste

A słowa które z brudu i ognia ochłoną  
Staną bezgrzeszne w sobie – niby aniołowie  
U stóp Bożego tronu. Równą antyfoną...

\* \* \*

Mowo – trawo nasza tratowana  
Kopytami w pył rozwiewana

Piołun, szalej, szczaw zajęczy, sporysz  
Perz, komosa i blekotu gorycz

Piach podmiejski, karłowata brzoza  
I wychudła na postronku koza



## *Do Jonatana Swifta*

Do ciebie zwracam się dziekanie  
Ja – jeden z karłów Liliputu  
Wiem, jeśli człowiek przy mnie stanie  
Nie sięgnę przyszwę jego butów

Wiem, jak jest śmieszne podglądanie  
Z tej wysokości, jatek naszych:  
– Główki pośpiesznie pościanane  
Spęczniałe niby ziarnka kaszy  
Po mysich dziurach piski, spiski  
Żałośnie antyszambrowanie  
Wielkie żeglugi na dnie miski...

To wszystko prawda mój dziekanie

O, obiektywny aż do kości  
Tyś, skrobiąc słowa swe z rozwagą  
Stworzył człowieczej wyniosłości  
Olbrzymów kraju Brobdingnagu

I ludzkość nagle tak skarłała  
Pod wielkiej pięści chmurą ciemną  
Jej mądrość cała, honor, chwała  
Krzykiem Jahusa w noc jesienną

Wśród ludu mężnych Liliputów  
Wielkie stąd było świętowanie  
Że „nikt nie wyższy przyszwę butów”  
Dziękuję za to, mój dziekanie

Co będzie dalej – Przenikliwy  
Którego mądrość zachwyty budzi  
Wśród karłów, ludzi i nadludzi?...  
Czy można odkryć ład szczęśliwy?  
Czy można skończyć wędrowanie  
Po cierpkim, chwiejnym oceanie?...

– Wytłumacz mnie nędznemu, powiedz  
Skądże pod niebem twej ironii  
Dojrzała sucha niby owies  
Insuła przepoczcziwych koni  
Skąd po satyrach to bajanie?  
Pytam cię pięknie, mój dziekanie

Pytam się ciebie, pytam siebie  
Dlaczego nikt z nas nie wytrzyma  
Tej wiedzy, że nic więcej ni ma

Że starczy zmienić perspektywę  
A to co dla nas krwawe, żywe  
Co wielkim z wielkich – tak maleje  
Jak śmieszne prawdy i nadzieje...

Nie będzie wyspy gniadych, siwych  
Szpaków, bułanych, sprawiedliwych  
Żadne nie stworzy jej pisanie

To chyba prawda, mój dziekanie  
A jednak skończyć tak nie mogę  
Choć to jest głupie, słucham, czekam

Może przez wodę, kamień, ogień  
Dobiegnie do nas skądś z daleka  
Houyhnhnmów rzenie błogie

O jakże piękne to śpiewanie!  
Ja, biedak z kraju Liliputów  
Co jeśli przy człowieku stanie  
Nie sięgnie przyszwę jego butów  
Jestem ci równy, mój dziekanie

Naiwne łączy nas czekanie

\* \* \*

Lud, co tak słodko był dawniej znajomy  
W roboczą bluzę lub folklor wtłoczony  
Co trwał zawsze w pochodach i ceremoniach  
Niby jest cichy...

Niby się ugodził  
Że własnych synów nie będzie zabijać  
– Ale milczenie czujesz za plecami  
Choć kość z ich kości zostajemy sami  
Jakby nas oddech lodowca ochłodził

Jakby śmierć przeszła. Jakby już nie było  
Tej samej mowy, jednego wspomnienia...  
Jeszcze przy szklaneczce wódki może bywać miło  
Możesz doczekać chwili przebaczenia

Na trzeźwo – wszystko jak zza szklanej ściany  
Bośmy się przewinęli z ludu w jego pany

\* \* \*

Ach, tam nad Pacyfiku pienistą kotliną  
Gdzie wszystko buczne, huczne niby w dzień stworzenia  
Tam śpiewać, gdzie jak ziemia, to kontynent-ziemia  
Gdzie kropla oceanem, a piasek pustynią

Ale tu – na przedmieściu? Na tej grudce lichej  
Co przycupnęła pod historii cieniem  
Prowincjonalny głos podnosić cichy  
Niby kornik co w próchnie stuka jak sumienie

Tu być obywatelem globu... I składać poematy  
Pod skoczny takt mazurka: – Póki co, żyjemy...

\* \* \*

Anioł zawołał głosem tak ogromnym  
Że się zrównały góry i doliny  
Abyśmy szybciej doszli do Dzieciny  
Która od chłodu drży w jasełkach skromnych

Jacy jesteśmy głusi. Ile trzeba tego  
Huku i stuku, trąbienia, wołania  
Byśmy dźwignęli ciężkie łby z posłania  
I zrozumieli płacz Narodzonego...

## *Perła*

Czy jest nam źle?... Kto mówi – temu gazet tysiąc  
I sto organizacji może szczerze przysiąc  
Że to jest dobrem, co wywalczyliśmy

Czy jest nam źle?... Kto mówi tak – widać nie myśli  
O tym, co byłoby, gdyby nie było  
Tego, co jest i będzie...

Wielce się zmieniło

Prawdy badanie, za prawdą szukanie  
Dziś zanim ekspedycja bohatersko ruszy  
Aby się zaryć w faktach aż po uszy  
Musi przewidzieć, co ze dna dostanie

Czy jest nam źle?... Być może niejednego boli  
Uwiera coś przy karku, oddech nagle dławi

Ale tak właśnie rodzą perłopławy  
Tak z udęczenia, krwi, potu i soli  
Scala się łza klejnotów.

Jej jasność objawić

Trzeba, mój literacie. Reszta jest milczeniem  
Bełkotem morza. Niemym skorupy cierpieniem

\* \* \*

1

Ta najtajniejsza chwila gdy za kulisami  
Aktor czeka na słowo – jeszcze ogłuszony  
Codzienną paplaniną śmierdzący plotkami...  
Jeszcze jeden z nas. Jeszcze na wieki złączony  
Z prawem ciężenia tego co realne  
Co samo w sobie jasne i niewykonalne

2

Ta chwila kiedy wchodzi w sztukę. Kiedy znaczy  
Może być ptakiem wodą ziemią ogniem  
Może człowieka zagrać tak podobnie  
Jak nikt samego siebie nigdy nie zobaczy

3

Ta chwila której siłę tylko przeczuwamy  
Słowo którego o tym nie wiedząc czekamy

4

Ten blask gdy się zbędziemy gadaniny niemej  
I przez śmierć jak przez ciemną kulisę przejdziemy

## *O sielankowi synowie tej ziemi*

O sielankowi synowie tej ziemi  
Tak miękcy jakby z wosku ulepieni  
Niestali nieoporni w twardej łapie świata  
Który nas w palcach dokładnie ugniata  
Ubija w naród ścisły i logiczny  
Chociaż w pretensjach swych trochę komiczny:  
– Bo ciągle nie zdławione ciche bajdy stare  
– Bo ciągle nie chce kopcić, tlić się jak ogarek  
Nad siły swoje świecąc płomieniem gromnicznym...



\* \* \*

Tak jak zapomnieliśmy krzyku narodzenia  
Tak zapomnimy trudów odchodzenia  
Myśl nasza, krzyk nasz i nasze dychanie  
Do innych ust uleci. Tam chwilą zostanie  
Niby ptak umęczony długim wędrowaniem...

A potem znowu z innymi ptakami  
Na północ będzie ciągnąć stadami, kluczami

Opadać, bić skrzydłami przez ciemności morze  
Nad którym gwiazda błędna... Albo słowo Boże...



\* \* \*

Noc ponad nami wzniosła się i stała  
Ogromna, twarda – jak granitu skała  
Jako potworne strachu Kordyliery  
Żaden ptak nie przeleci tej ciemnej bariery  
A jednak ktoś próbował

Macając palcami

Piął się... Najpierw jak płomyk gorzał ponad nami  
Szedł coraz dalej, w gwiazdę się odmieniał  
Tak nikła, że już prawie nie do zobaczenia  
Jeszcze był... Wszyscy myśli wstrzymując czekali  
Czy wyżej nocy dojdzie iskra rozżarzona  
Czy też jako kometa na dół się obali  
Gubiąc w powietrzu światło i wracając do nas...



\* \* \*

Przed drzwiami twymi – Panie – czterdzieści lat stoję  
Pukam, szukam, dotykam i ciągle się boję  
Że to drapanie, to mysie piszczenie  
Wymodli wreszcie dla mnie otworzenie

Powiedz, dlaczego skrobię, czemu się upieram  
Szczerbię farbą palcami oddzieram  
Dlaczego chcę zobaczyć to Ciche, Ukryte  
Za deskami, co ściślej niżli trumna zbite

\* \* \*

Gwiazda, która jak oko okrutne patrzała  
Na nas tak pewnych siebie, takich uśmiechniętych  
Że aż ząb o ząb zgrzytał...

Teraz tak zmaląła  
Już ledwo, ledwo dycha jej światełko miękkie

I nagle więcej cienia daje niż jasności  
I nagle nie pomaga już, a tylko złości  
Tym przypomnieniem – żeśmy jej ufali  
Żeśmy co sprzeczne – żywe zabijali  
Aby tylko być godnym jej przenikliwości...

Gwiazda, co w naszych oczach z komety gorącej  
Ścieśniła się, zwinęła w ogarek kopący...

\* \* \*

Lasy – gdzie we snach radośnie idziemy  
Huczące zielonością jako wodospady

Zwierzęta ciepłe – co z nimi pijemy  
Z jednej rzeki powietrza...

Miodowe lewady

Na których staną drżące, z ciała wygonione  
Duszyczki nasze – w koszulkach czerwonych  
Od krwi tych wszystkich, cośmy ich zabili  
Na jawie.

Chociaż we śnie pokój z nimi pili...

\* \* \*

Wiatr podniósł grzbiet i śmiecie leciało jak ptaki  
Jako sztandary i plemienne znaki  
Jako roślina dymów – co nagle z domami  
Wyrwana była – niby z korzeniami

I myśmy też w ocean powietrza wplątani  
Tonęli uczepieni rękami zębami

Umierający z zaciekłością całą  
Którą żyliśmy przedtem. Zanim nas porwała



## *Tryumf*

Bramy, co dawniej były zatrzaśnięte  
Teraz się lekko, cicho otwierają  
Pysków, co dawniej były mi zawzięte  
Nie widzę nawet – bo się tak kłaniają  
Te gabinety, o których cichości  
Marzyłem kiedyś jako myszka siedząc  
Rozwarte dzisiaj w całej gościnności  
Niby ogromna gęba...

A ja z całą wiedzą

Której się nauczyłem w strachaniu, czekaniu  
Wstępuję na czerwone ozory dywanów  
I pcham się – aby dalej – do gardła samego  
Niby drażniąc, szukając i nie wiedząc tego  
Że kiedy już przestanę lechtać podniebienie  
Łykną mnie i przetrawią. I w gnój się odmienię

\* \* \*

Ta szczurza zwinność moja, miękkość dialektyczna  
Obfitość cierpkiej śliny – co skleci, oblepi  
Najbardziej sprzeczne – i tym brzuch pokrzepi  
Ta ciętość zębów niby myśl logiczna  
Oczy, których kamienna ciemność nie oślepi

Ta złość, co tak buzuje we mnie – jaśniejąca  
Jako nadziei gwiazda – w przyszłość prowadząca

\* \* \*

Broniłem się dowcipem – taki pewny swego  
Że wiem, zanim co przyjdzie: jak, skąd i dlaczego  
Uczyłem się jak trzeba nabierać oddechu

I nurkować, przeczekać w miękkim morzu śmiechu  
I wrócić – jako delfin wywinąć łamańca  
I czuwać – czy nie proszą do nowego tańca  
I uchwycić powietrza, i skoczyć w głębinę  
I dusić się, i myśleć – czy aby nie zginę...

I nauczyć się dychać ironią miłą  
I nie chcieć już powietrza. Bobby mnie zabiło.

## *Patykiem pisane*

Przyjdzie czas – zasiądziemy jak nad stołem pustym  
Nad naszą ziemią cichą, zadymką okrytą  
I nikt nie wstanie, żeby nas powitać  
I nic nie będzie widać – tylko śniegu chustę

Weźmiemy musztardówki – jak zawsze braliśmy  
I wypijemy na zdrowie tej ziemi  
I otrząśniemy resztę – jak to przywykliśmy

Aż się obrus przed nami krwawo zaczerwieni

\* \* \*

Trzymając świece niby nóż płomienny  
Krajaliśmy ciemności do samego rdzenia  
Aż się wynurzył ich szkielet wapienny  
Aż wszystkie kości oskrobano z cienia  
I stały teraz jak gad sprzed potopów  
Z żebrami ogromnymi, z węzowym ogonem  
Z skrzydłami co wysoko były uniesione  
Nad małą pięścią główki, w której cicha, śnięta  
Siedziała śmierć pod czaszką jak ziarno ściśnięta...

\* \* \*

Wiatr, co huczac rozganiał ludzkie pokolenia  
Ucichł na chwilę. A więc się zbieramy  
Ziarnko piasku do ziarnka. A więc się sklejamy  
Krwia, potem, śliną w kawałek kamienia

Jak duszno jest, niemrawo, jak wszystko karleje  
Ściska się i uciera, ugładza, pasuje  
Każdy każdego trzyma – Ni to obejmuje  
Ni to dusi, czekając czy wiatr znów zawieje

O nagła burzo strachu – nasz Boże codzienny  
Dla ciebie prawda z kłamstwem będzie na krzyż zbita  
Dla ciebie nasza wiara, że to błoto ciemne  
Stanie się jak opoka

I lepiej nie pytać  
Co dalej? – Jeśli na nic nasze uciśnienie  
Bo nie tak z magmy rodzą się krzemienie.

## *Urywek*

...Śpię czujnie i chrapaniem zagłuszam te słowa  
O których bałem się myśleć na jawie...

\* \* \*

Anioł nad ziemią stanął jako błyskawica  
I widać było jak po skrzydłach białych  
Burze potokiem gradów opadały  
I jasno było tak, że na ulicach  
Mogłeś odnaleźć każdy włos strącony  
Z niewinnej głowy...

W tym świetle bolesnym

To, co monumentalne, to, co osądzone  
Rzucało cienie – takie małe, śmieszne  
Żeśmy nie mogli pojąć swego uwielbienia  
I każdy zmykał od tych skrawków cienia

Każdy tak pilnie chował głowę oszalałą  
Aż Alpy tłustych tyłków na świat wystawały



\* \* \*

Zmęczenie, które obok do stołu zasiada  
Bezsensowność, co się z nami do spania układa  
Chleb, co twardnieje nam w rękach na kamień  
I piętno czarne – malusieńkie znamię  
Tuż ponad sercem...

Jeszcze bez znaczenia  
Jeszcze można palcami zakryć ślad sinienia  
Przydusić niby płomyk.

Zanim spopieleje  
Zanim się spali wszystko – jeszcze mieć nadzieję

\* \* \*

Aż w późnym listopadzie – zbiełały od szronu  
Mój ojciec z polskiej wojny powrócił do domu

Siedział pod starą gruszą na twarz zsunął czapkę  
Jakby się wstydził spojrzeć na mnie i na matkę

Cywilny kubrak na nim jak na strachu leżał  
Krew mu spłynęła po zdartym kołnierzu

Nie mówił nic. To inni powiedzieli potem  
Jak bił się u Kleeberga w kompanii piechoty

Jak rozbito kompanię jak bił się od nowa  
Mój ojciec jadł w milczeniu. Nie powiedział słowa

Powoli łamał w palcach biedny chleb razowy  
Wesz mu łazła po kurtce jak order bojowy

## *Krajobraz podwarszawski*

Śpi reduta Ordon. Bóg płomienną świecą  
Nie dotknął prochów świata i wszystko zostało  
Jeszcze twardsze niż było. Ani się rozleca  
Imperia krwią zlepione... Nawet nie zagrzmiało

Dziś tutaj cisza taka – jakby nic nie było  
Tuż pod sercem Warszawy – jakby te płomienie  
To ogniem oczyszczenie, to ziemi wstrząśnienie  
Tylko się w zapomnianych bajkach przyśniło

Może lepiej nie czekać, może nie wspominać  
Może nie naszeptywać od ojca do syna

Może na tym pęknięciu, na historii bliźnie  
Uprawiać pomidory – tak służąc ojczyźnie?

\* \* \*

Już umywałem ręce w takiej niewinności  
Co była bardziej niż jucha płamiąca

Już czułem czystość w sobie – jak mróz aż do kości  
I nic nie chciałem wiedzieć i o nic nie trącać  
Bo się wszystko zbić może...

Człowiek łatwo ginie  
Ciszej od porcelany trzaśnie i umiera

Po co nad trupem dumać i ułamki zbierać  
Lepiej zmyć palce w wodzie, co płynęła, spłynie...

\* \* \*

Wietnam troszeczkę passé... Nie jest już Chrystusem  
Studenckich teatrzyków. Gazet też nie bawi  
Żyje tam sobie jakoś – mało, wiele krwawi  
Jak tyle miast do dzisiaj krzyża uczepionych  
Za jeden gwóźdź, co nie da się wyrwać do końca  
Wygina się, obraca zżółkłą twarz do słońca

– Taki nam z bliskich bliski, o , warszawski taki  
Szarpiający się naiwnie jak kalekie ptaki  
Wołający coś świata w języku nieznanym  
Co był chwilę słyszany, lecz jest zapomniany  
Bo inny mały naród na krzyż jest wznoszony  
Bo tyle trzeba opisać agonii  
Bo czytelnicy już przyzwyczajeni  
Chociaż moralni w sobie – lecz trochę znudzeni  
Bo wszyscy niby płaczą, niby biją brawo  
Ale pa, pa Wietnamie, Chile, pa Warszawo  
Pa...

    Dziw się wielki świecie zanim się zachłysziesz  
Oddech zatracisz i szczęki zaciśniesz  
Pa...

    Ja się już nie dziwię. Toć i my znudzeni  
A przecież jeszcze ćwiekiem krzyża naznaczeni

## *Autoportret*

Wiatr co huczał nad nami aż spadały głowy  
Podniósł swe skrzydło wyżej i leciał szalony  
A puste czaszki przed nim jak białe balony  
A chmura włosów za nim jako mrok gradowy

O jakieśmy świstali przez zęby ściśnięte  
Jak się nam szumnie układały słowa  
Jak metalicznie grało podniebienie wzdęte  
Z każdym powiewem – jeszcze raz, od nowa

A teraz cisza jest. Kto ją wytrzyma?  
I głowy nasze z mózgu wydmuchane  
Nie lecą ponad ziemią niby myśl olbrzymia

Wszystko jałowe, suche, niespodziane  
Czupryny wyłysiałe. Chmury wyczesane

Równina i równina. I więcej nic ni ma...

## *Reportaż*

Ani nie było tak jak to śpiewali  
Prorocy którzy słowa skandując kłamali  
Że ta Mogiła – wioska zagubiona  
Zostanie z martwych w raje ziemskie przeniesiona

Ani i tak nie było – jak potem pisano  
Że próżno z grobu błoto w górę wydźwigano

O miasto – które zwano Młodości Stolicą  
A ostało się tylko krakowską dzielnicą  
O miasto – opiewane niby bohaterzy  
W bylinach co zmieniły się w zdarte szlagiery  
Tyś jest.

Chociaż reduty sławne legendami  
Są dzisiaj tylko zwykłymi domami  
Stoją krzywo lepione mury miasta tego  
Jak pomnik gorzkiej wiedzy rocznika mojego

\* \* \*

Zmęczenie, które tak na plecy siadło  
Że cały naród jak garbaty chodzi  
Ta mgła z ołowiu, w której ciężko brodzisz  
Z pracy do sklepów kupić co popadło

Potem śpisz na stojąco, potem znów dorabiasz  
Garbisz się jeszcze bardziej... Nagle coś do śmiechu  
Wymyślasz – żeby choć chwycić oddechu  
Bo dobry dowcip na nogi nas stawia

I tak się śmicha, chicha na wpół uduszona  
Ojczyzna moja – ciągle zmartwychwstając

Choć po raz setny do trumny złożona  
Ciągle wystawia swój łeb – i zmyślając  
Przekleństwa i przyśpiewki – podźwiga od nowa  
Swe dzieje ciężkie jak płyta grobowa



\* \* \*

Jako Jonasz, co płakał w gębie wieloryba  
Ze strachu przed ciemnością – a jednak tam siedział  
I znosił smród, co po nim gęstym tłuszczem spływał

Jako Jonasz, co pragnął światła, ale wiedział  
Że jeśli go wypłunie z tej gęby na morze  
Będzie musiał być. Krzyczeć gniewne słowo boże

Jako Jonasz jesteśmy – ze strachu zwinięci  
Czepiający się jeszcze przez chwilę duchoty  
Zanim nas pierwsza fala przez gębę poświęci  
Ułapi w swoje żelazne obroty  
Na brzeg wykopie...

Gdzie ongiś stał nagi  
Mały, wypluty prorok – ucząc się odwagi

# Spis utworów

## LEKKOATLETYKA

*Tajne imię, o którym każdy zapomina...*  
*Jeszcze ulecieć w niebo jak w dzieciństwie było...*  
Zanurzyć się wieczorem  
*Karymi koniami...*  
Lekkoatletyka  
*Ciemne i wrogie przedmiotów spojrzenie...*  
Przyśpiewka  
*Kto umiał gadać – dogadał milczenie...*  
*Próżno patrzymy z biegiem niepamiętnej wody...*  
*W kącie pod szarą chmurą pajęczyny...*  
Wiersz nie dokończony  
Co będzie z nami  
*Religie zatajone aż za siódmą skórą...*  
*Umarli, którzy żyją wciąż pomiędzy nami...*  
*Życie, z którego śmierć zoperowano...*  
*Ten obcy, ten najbliższy – ten we mnie skulony...*  
*Zasnąć na dłoni wieczności – w spokoju...*  
A może...

## W TYM WIETRZE

*Pola w śniegu leżały – ciche skrzydła białe...*  
*Głos morza jak głos Boga groźny, jednostajny...*  
*Cierpliwe, krowie oko oceanu...*  
Przez miasto ściśle  
Kolęda  
*W krzyku Maryi i krwi narodzenia...*  
*Ludu mój cichcem w ciemnościach żyjący...*  
*Psy drżały stojąc przy nas, kiedyśmy czekali...*  
*W tym wietrze co jak rzeka zgęstniał ponad nami*  
*Co krwawe – zmyte będzie deszczami...*

## SNY

*Śniłem – a może to było na jawie...*  
*Kto z nas umiał zapomnieć tę przeczystą chwilę...*  
*Kamienie obłupane do kości kamienia...*  
*Biegłem sam, może zresztą biegłem i z innymi...*  
*Wiedziałem dobrze, że śnię i wiedziałem...*  
*Słyszałem oddech, łoskot oceanu...*  
*Twarze, co dziwnie były skamieniałe...*  
*Najpierw przez rzekę śmierci śmierzdzącą fenolem...*  
*Bo to jest tylko przerwa, godzina spokoju...*  
*Wstyd, co przychodzi jak gość nieproszony...*

## ZWIERZĄTKO

Zwierzątko

Kantyczka

Piosenka biednego poety

Połów

*Czasem jeszcze potrafię tak w gwarze powiedzieć...*

*O jak lekko kłamałem kiedy byłem młody...*

*Skąd we mnie ten głód ciągły i słone pragnienie...*

Ciemność

Kto jest z ciepłego stada wygoniony

*Aktorzy – moi przyjaciele...*

Ten który

*Ani to równina, ani połonina...*

OGRÓD ZIEMI

*Czupryny nasze cichcem wyleniale...*

*Cierpliwe cienie zmarłych – w każdym pokoleniu...*

Ogród ziemi

*Tam, w samym sercu gówna, w gnojowisku...*

Sonet sentymentalny

*Mowo – trawo nasza tratowana...*

Do Jonatana Swifta

*Lud, co tak słodko był dawniej znajomy...*

*Ach, tam nad Pacyfiku pienistą kotliną...*

*Anioła zawołał głosem tak ogromnym...*

Perła

*Ta najtajniejsza chwila gdy za kulisami...*

O sielankowi synowie tej ziemi

*Tak, jak zapomnieliśmy krzyku narodzenia...*

*Błogosławieni cisi – oni odziedziczą...*

*Noc ponad nami wzniosła się i stała...*

*W samym wnętrzu ciemności, w jej sennym ośrodku...*

*Przed drzwiami twymi – Panie – czterdzieści lat stoję...*

*Gwiazda, która jak okno okrutnie patrzyła...*

*Lasy – gdzie we snach radośnie idziemy...*

*Wiatr podniósł grzbiet i śmiecie leciało jak ptaki...*

Tryumf

*Ta szczurza zwinność moja, miękkość dialektyczna...*

*Broniłem się dowcipem – taki pewny swego...*

Patykiem pisane

*Trzymając świece niby nóż płomienny...*

*Wiatr, co hucząc rozganiał ludzkie pokolenia...*

Urywek

*Anioł nad ziemią stanął jako błyskawica...*

*Zmęczenie, które obok do stołu zasiada...*

*Aż w późnym listopadzie – zbiełały od szronu...*

Krajobraz podwarszawski

*Już umywałem ręce w takiej niewinności*

*Wietnam troszeczkę passé... Nie jest już Chrystusem...*

Autoportret

Reportaż

*Zmęczenie, które tak na plecach siadło...*

*Jako Jonasz, co płakał w gębie wieloryba...*

